

Pierwsza
miłość,
ostatnie
posługi

Ian
McEwan

ALBATROS

W roku 1875 na licytacji „cennych ciekawostek” w Melton Mowbray mój pradziadek, w towarzystwie M, swojego przyjaciela, kupił penisa kapitana Nichollsa zmarłego w roku 1873 w więzieniu w Horsemonger. Penis, zakonserwowany w szklanym słoju wysokości trzydziestu centymetrów, zachował się, jak to zanotował mój pradziad owego dnia wieczorem w swoim diariuszu, „w pięknym stanie”. Na tej samej licytacji można było nabyć również „niewymowną część świętej pamięci lady Barrymore. Przypadła Samowi Israelsowi za cenę pięćdziesięciu gwinei”. Mój pradziadek upierał się, że te dwie rzeczy stanowiłyby wspaniały komplet, ale M mu ten pomysł wyperswadował. Oto znakomita ilustracja ich przyjaźni. Mój pradziadek podpała-teoretyk, M, człowiek czynu, który wiedział, kiedy licytować. Pradziadek żył sześćdziesiąt dziewięć lat. Z tego przez czterdzieści pięć codziennie przed pójściem spać zasiadał i

zapisywał swoje myśli w dzienniku. Te dzienniki leżą teraz na moim stole, czterdzieści pięć tomów oprawnych w cielejącą skórę, a na lewo siedzi kapitan Nichols w szklanym słoju. Mój pradziadek żył z dochodu, jaki mu przynosił wynalazek jego ojca, zmyślna haftka używana przez gorseciarki aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Pradziadek lubił plotki, liczby i teorie. Lubiał także tytoń, dobre porto, potrawkę z zająca i – z rzadka – opium. Uważał się za matematyka, chociaż nigdy nie pracował ani nie opublikował żadnej książki. Tak samo nigdy nie podróżował ani nie doczekał się tego, żeby jego nazwisko znalazło się na łamach „Timesa”, nawet po śmierci. W roku 1869 poślubił Alice, jedyną córkę wielbego Toby’ego Shadwella, współautora niezbyt wysoko cenionego dzieła o dzikich kwiatach Anglii. Jestem przekonany, że mój pradziad był wspaniałym pamiętnikarzem, i kiedy skończę redagowanie jego dzienników i zostaną one wydane, z pewnością doczeka się należnego mu uznania. A ja wezmę wtedy długi urlop i wyjadę gdzieś, gdzie jest zimno, czysto i bezdrzewnie, na przykład na Islandię czy w rosyjskie stepy. Zawsze sobie myślałem, że na koniec, po tym wszystkim, rozwiódę się ze swoją żoną Maisie, o ile to będzie możliwe, ale teraz już nie ma takiej potrzeby.

Maisie często krzyczała przez sen i musiałem ją budzić.

– Obejmij mnie – prosiła. – To był straszny sen. Już kiedyś mi się to śniło. Leciałam samolotem nad pustynią. Ale tak naprawdę to nie była pustynia. Zeszłam tym samolotem niżej i wtedy zobaczyłam, że to tysiące niemowląt spiętrzonych aż po horyzont, nagich, włączających jedno na drugie. Kończyło mi się paliwo i musiałam lądować. Usiłowałam znaleźć miejsce, więc leciałam dalej i dalej, wypatrując miejsca do lądowania...

– Ale teraz już śpij – mówiłem, ziewając. – To był tylko sen.

– Nie – odpowiadała, płacząc. – Nie wolno mi teraz zasnąć, jeszcze nie.

– Dobrze, ale przynajmniej ja chcę zasnąć – broniłem się. – Muszę wcześniej wstać.

Potrząsała mnie za ramię.

– Proszę cię, jeszcze nie zasypiaj. Nie zostawiaj mnie tu samej.

– Ale przecież ja jestem w tym samym łóżku – mówiłem. – Nie zostawiam cię.

– Nie o to chodzi. Nie zostawiaj mnie na jawie. – Ale mnie już zamykały się oczy...

Ostatnio nabrałem zwyczajów mojego pradziadka. Zanim się położę, siadam sobie na pół godziny, żeby przemyśleć miniony dzień. Nie mam żadnych matematycznych wizji ani seksualnych teorii do zanotowania. Głównie zapisuję to, co ja powiedziałem Maisie i

co Maisie powiedziała mnie. Czasami, dla uzyskania całkowitego spokoju, zamykam się w łazience, siadam na sedesie i kładę sobie notatnik na kolanach. Poza mną znajduje się czasem w łazience jakiś pajak, nieraz dwa. Włazą po rurze i siedzą tam, idealnie nieruchome, na tle jaskrawej bieli emalii. Pewnie się zastanawiają, dokąd to one trafiły. Po godzinach takiego czajenia się zawracają, zdumione czy też zawiedzione, że niczego więcej nie zdołały się dowiedzieć. O ile wiem, mój pradziadek tylko raz wspomniał o pajakach. Ósmego maja 1906 roku napisał: *Bismarck jest pajakiem*.

Popołudniami Maisie przynosiła mi herbatę i opowiadała swoje koszmarne sny. Ja zwykle wtedy przeglądałem stare gazety, robiłem indeksy, spisywałem różne rzeczy, to odkładałem jakiś tom, to znów brałem inny. Maisie powiadała, że jest w złej formie. Ostatnio po całych dniach przesiadywała w domu, gapiąc się na książki z dziedziny psychologii i okultyzmu, i prawie co noc miewała złe sny. Od czasu kiedy wymieniliśmy ciosy w sensie fizycznym, czatując na siebie pod drzwiami łazienki z tym samym butem, nie miałem dla niej współczucia. Jej problem w dużej mierze wynikał z zazdrości. Była bardzo zazdrosna... o czterdziestopięciotomowy dziennik mojego pradziadka i o upór i energię, z jakimi przygotowywałem go do druku. Maisie nie robiła nic. Kiedy weszła z herbatą, odkładałem właśnie jeden tom i brałem następny.

– Czy mogę ci opowiedzieć mój sen? – spytała. – No więc leciałam tym samolotem nad czymś w rodzaju pustyni...

– Później mi opowiesz, Maisie. Jestem bardzo zajęty. – Po jej wyjściu gapilem się na ścianę przed biurkiem i myślałem o M, który przez piętnaście lat regularnie przychodził do pradziadka na kolację aż do swojego nagłego i niezrozumiałego zniknięcia któregoś wieczoru w roku 1898. M był w pewnym sensie uczonym, a zarazem człowiekiem czynu. Na przykład wieczorem dziewiątego sierpnia 1870 roku omawiają z pradziadkiem pozycje przy stosunku i M mówi mojemu pradziadkowi, że pozycja a posteriori jest najbardziej naturalna w świecie z powodu położenia łechtaczki i dlatego, że małpy człekokształtne też ją preferują. Mój pradziadek, który kopulował może ze sześć razy w całym swoim życiu, i to z Alice w pierwszym roku ich małżeństwa, zastanawia się głośno, co na to kościół, na co M z miejsca mu odpowiada, że teolog z siódmego wieku, Theodore, uważał kopulację od tyłu za grzech równy masturbacji, a tym samym zasługujący na pokutę czterdziestu zdrowasiek. Później tego samego wieczoru mój pradziadek udowodnił matematycznie, że maksymalna ilość pozycji nie może przekraczać liczby pierwszej siedemnaście. M wyszydził go i oświadczył, że widział kolekcję rysunków Romano, ucznia Rafaela, w której autor pokazał dwadzieścia cztery pozycje. A

ponadto, dodał, słyszał o jakimś panu F.K. Forbergu, który wymieniał dziewięćdziesiąt. Herbata, którą mi Maisie postawiła, była już zimna, kiedy sobie o niej przypomniałem.

Ważny etap rozkładu naszego małżeństwa osiągnęliśmy w sposób następujący. Pewnego wieczoru siedziałem w łazience i spisywałem naszą rozmowę na temat kart do taroka*, kiedy nagle Maisie zaczęła walić w drzwi i szarpać za gałkę.

– Otwórz mi! – zawołała. – Chcę wejść.

– Musisz chwilę poczekać – odpowiedziałem. – Już kończę.

– Wpuść mnie zaraz! – krzyknęła. – Ty wcale nie używasz klozetu!

– Poczekaaj – odparłem i napisałem jeszcze jedną czy dwie linijki. Teraz już Maisie kopotała w drzwi.

– Dostałam miesiączki i muszę sobie coś wziąć! – Zignorowałem jej wrzaski i skończyłem pisać coś, co wydawało mi się szczególnie ważne. Gdybym to zostawił na później, umknęłyby mi pewne detale. Ponieważ Maisie się uspokoiła, uznałem, że jest w sypialni. Ale kiedy otworzyłem drzwi, stwierdziłem, że stoi przede mną z butem w ręce. Z całej siły wyrzuciła mnie

* Tarok – gra w karty. 22 karty są figurami o specyficznych nazwach (śmierć, diabeł, cesarz i in.) i stanowią tzw. wielkie arkana; pozostałe 56 kart to tzw. małe arkana. Karty tarokowe bywają używane do celów wróżbiarskich.

obcasem w głowę, tak że ledwie zdołałem zrobić lekki unik. Obcas trafił mnie w czubek ucha i rozciął mi je paskudnie. – Masz – powiedziała, omijając mnie i wchodząc do łazienki. – Teraz krwawimy oboje. – I zatrzasnęła za sobą drzwi.

Podniosłem pantofel i trzymając chusteczkę przy uchu, stałem cicho i cierpliwie pod drzwiami. Maisie siedziała w łazience z dziesięć minut, a kiedy wyszła, trafiłem ją dokładnie w sam czubek głowy. Nie zostawiłem jej czasu na żaden ruch. Stała przez chwilę bardzo spokojnie, patrząc mi prosto w oczy.

– Ty padalcu – wydyszała i poszła do kuchni opatrzyć sobie głowę.

Wczoraj podczas kolacji oświadczyła, że człowiek zamknięty w celi tylko z kartami do taroka miałby praktycznie klucz do wszystkiego. Stawiała sobie karty po południu i do tej pory leżały porozkładane na podłodze.

– Czy mógłby wyczytać z kart plan ulic Valparaiso? – zapytałem.

– Jesteś głupi – odparła.

– Czy karty mogłyby mu powiedzieć, jak najlepiej założyć pralnię, jak zrobić automat do smażenia omletów i cynaderek?

– Jesteś strasznie ograniczony – narzekala Maisie. – Masz bardzo wąskie horyzonty i zawsze wiadomo, co powiesz.

– A czy mógłby – nalegałem – powiedzieć mi, kim był M albo dlaczego...

– Te sprawy się nie liczą! – krzyknęła. – Nie są ważne.

– Ale to też wiedza. Czy mógłby to ujawnić?

Zawahała się.

– Owszem, mógłby.

Uśmiechnąłem się i nic nie powiedziałem.

– Ciekawe, co w tym śmiesznego? – Wzruszyła ramionami, zaczynała być zła. Chciała, żeby jej wykazać, że nie ma racji. – Po co zadajesz te wszystkie bezsensowne pytania? – Znów wzruszyła ramionami.

– Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście masz na myśli wszystko.

Maisie, bębniąc palcami po stole, wrzasnęła:

– Pocałuj mnie w dupę! Dlaczego zawsze się tak ze mną drażnisz?! Dlaczego nie powiesz czegoś sensownego?

W tym momencie zrozumieliśmy, że osiągnęliśmy punkt, do którego zmierzały wszystkie nasze rozmowy, i zapanowało pełne goryczy milczenie.

Nie posunę się w pracy nad dziennikami, dopóki nie wyjaśnię tajemnicy otaczającej M. Po piętnastu latach przychodzenia na kolację i dostarczania mojemu pradziadkowi bogatego materiału do jego teorii M po prostu znika z kart diariusza. We wtorek szóstego grudnia mój pradziadek zaprosił go na sobotnią kolację i mimo

że M przyszedł, pradziadek w tym dniu zapisuje po prostu: „M na kolacji”. W inne dni ich rozmowy podczas tych posiłków są potraktowane bardzo obszernie. M był na kolacji w poniedziałek piątego grudnia i rozmowa dotyczyła geometrii; wszystkie zapiski z owego tygodnia dotyczą tego samego tematu. Nie ma najmniejszego śladu jakiegokolwiek antagonizmu między panami. Poza tym M był mojemu pradziadkowi potrzebny. Dostarczał mu materiału, był dobrze poinformowany, znał Londyn i wiele razy był na kontynencie. Wiedział wszystko o socjalizmie i Darwinie i miał znajomego w ruchu na rzecz wolnej miłości, przyjaciela Jamesa Hintona. M był człowiekiem światowym w sensie, w jakim mój pradziadek, który tylko raz w życiu opuścił Melton Mowbray, żeby pojechać do Nottingham, nie był. Nawet w młodości pradziadek wolał teoretyzować przy kominku; nie potrzebował niczego więcej poza historiami, których mu dostarczał M. Na przykład pewnego wieczoru w czerwcu 1884 roku M, który właśnie przyjechał z Londynu, zdał mojemu pradziadkowi sprawę z tego, jak ulice w stolicy są zapaskudzone i zawałone końskim łajnem. W tym samym tygodniu pradziadek przeczytał esej Maltusa *Prawo ludności*. Również z tego wieczoru datuje się pełen podniecenia zapisek w dzienniku na temat broszury, którą chciałby napisać i opublikować. Miała nosić tytuł *De Stercore Equorum*. Broszura nigdy nie została opu-

blikowana, a najprawdopodobniej nawet nie napisana, ale od tego wieczoru poczynając, przez dwa tygodnie pradziadek robił w dzienniku szczegółowe notatki. W *De Stercore Equorum* (O końskim łajnie) przyjmuje, że populacja końska rośnie w postępie geometrycznym, i na podstawie szczegółowego planu ulic oblicza, że do roku 1935 stolica będzie nieprzejezdna. Przez „nieprzejezdna” pradziadek rozumie warstwę (sprasowaną) o przeciętnej grubości trzydziestu centymetrów na każdej większej ulicy. Opisał też eksperymenty, jakich dokonywał przed swoimi stajniami w celu zbadania ściśliwości końskiego nawozu, co udało mu się przedstawić matematycznie. Była to oczywiście czysta teoria. Jego wyniki opierały się na założeniu, że przez najbliższe pięćdziesiąt lat nikt nie będzie tego łajna uprzątał. Jest wysoce prawdopodobne, że to właśnie M wyperswadował mojemu pradiadkowi ten projekt.

Pewnego ranka, gdy po długiej, ciemnej nocy koszmarów sennych Maisie leżeliśmy w łóżku, spytałem:

– O co ci właściwie chodzi, Maisie? Dlaczego nie wrócisz do pracy? Te twoje spacerunki, te analizy, przeziadywanie w domu, wylegiwanie się przez całe ranki, tarok, te koszmarnie sny... O co ci właściwie chodzi?

– Chodzi mi o to, żeby sobie wyprostować w głowie. – Co mówiła już nieraz przedtem.

– Twoja głowa, twój umysł – powiedziałem – to nie jest kuchnia hotelowa, kapujesz, z której możesz powy-

rzucac różne rzeczy w rodzaju starych puszek po konserwach. Twój umysł bardziej niż miejsce przypomina rzekę, ruchomą i zmieniającą się cały czas.

– Nie zaczynaj tego wszystkiego od początku. Nie mam zamiaru prostować rzek, mam zamiar wyprostować sobie w głowie.

– Ale ty musisz coś robić – próbowałem ją przekonać. – Nie możesz nie robić nic. Dlaczego nie wrócisz do pracy? Jak pracowałaś, nie miałaś koszmarnych snów. Nigdy nie byłaś taka nieszczęśliwa.

– Muszę się trzymać od tego wszystkiego z daleka – powiedziała. – Nic z tego nie rozumiem.

– Moda – odparłem. – To wszystko moda. Modne metafory, modne czytanie, modna choroba. Co ty wiesz o Jungu na przykład? Czytasz dwanaście stron na miesiąc.

– Przestań – prosiła. – Wiesz, że to do niczego nie prowadzi.

Ale ja nie przestałem.

– Nigdzie nie byłaś – ciągnąłem. – Nigdy nic jeszcze nie zrobiłaś. Jesteś miłą dziewczyną nawet bez dobrodziejstwa nieszczęśliwego dzieciństwa. Twój sentymentalny buddyzm, ten mistycyzm dla ubogich, twoje pseudochińskie metody leczenia, astrologia rodem z brukowców... nic z tego nie jest twoje własne, żadnej z tych rzeczy nie wypracowałaś sama. Wpadłaś w to wszystko. Wpadłaś w bagno szacownych przecuć. Brak ci ory-

ginalności czy pasji, żeby wyczuwać cokolwiek innego poza własnym nieszczęściem. Po co wypełniasz swoją wyobraźnię cudzymi banałami i narażasz się tylko na kosztmarne sny? – Wstałem z łóżka, rozsunąłem zasłony i zacząłem się ubierać.

– Mówisz jak na seminarium z literatury – powiedziała Maisie. – Dlaczego mi jeszcze utrudniasz? – Zaczęła się rozczulać nad sobą, ale się opanowała. – Kiedy tak mówisz – podjęła – czuję się jak miętoszony świstek papieru.

– A może właśnie uczestniczymy w seminarium z literatury – odparłem ponuro.

Maisie usiadła w łóżku zapatrzona w swoje kolana. Nagle zmieniła ton. Poklepała poduszkę i powiedziała łagodnie:

– Chodź. Chodź tu, usiądź koło mnie. Chcę cię dotknąć. Chcę, żebyś ty dotknął mnie...

Ale ja tylko westchnąłem i byłem już w drodze do kuchni.

W kuchni zrobiłem sobie kawę i zabrałem ją do gabinetu. W ciągu źle przespanej nocy uświadomiłem sobie, że klucz do zniknięcia M może być zawarty na stronach dotyczących geometrii. Do tej pory zawsze je opuszczałem, ponieważ nie interesuje mnie matematyka. W poniedziałek piątego grudnia 1898 roku M i mój pradziadek dyskutowali o *vescia piscis* – najwyraźniej przedmiot pierwszej tezy Euklidesa – który dał podsta-

wy planom wielu budynków kultu religijnego w starożytności. Przeczytałem dokładnie przebieg rozmowy, usiłując, jak mogłem najlepiej, zrozumieć zawartą w niej geometrię. Następnie, przewróciwszy kartkę, znalazłem przydługą anegdotę, którą M opowiedział jeszcze tego samego wieczoru po wniesieniu kawy i zapaleniu przez panów cygar. Dokładnie w chwili kiedy zacząłem czytać, weszła Maisie.

– A ty? – zagadnęła, jakby w naszej wymianie zdań nie było godzinnej przerwy. – Ty masz tylko te swoje książki. Grzebiesz się w przeszłości jak mucha w gównie.

Byłem oczywiście wściekły, ale uśmiechnąłem się i powiedziałem wesoło:

– Grzebię się? Być może, ale to przynajmniej jakiś ruch.

– Ty już do mnie nie mówisz – odparła Maisie. – Grasz mną jak w kęgle mechaniczne, na punkty.

– Witaj, Hamlecie – wygłosiłem, usiadłem w fotelu i czekałem cierpliwie, co ma mi jeszcze do powiedzenia. Ale ona nie odezwała się więcej. Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

M zaczął opowiadać mojemu pradziadkowi:

We wrześniu 1870 wpadły mi w ręce dokumenty, które nie tylko unieważniają wszystko, co zgodnie z naszą wiedzą stanowi podstawy stereometrii, ale także podważają kanony praw fizycznych i zmuszają

człowieka do ponownego określenia swojego miejsca w naturalnym porządku rzeczy. Te dokumenty wydają się ważniejsze niż prace Marksa i Darwina razem wzięte. Zostały mi powierzone przez młodego amerykańskiego matematyka i są owocem pracy Szkota – Dawida Huntera, również matematyka. Amerykanin nazywał się Goodman. Przez wiele lat korespondowałem z jego ojcem w związku z jego pracą na temat cyklicznej teorii menstruacji, która – o dziwo – jest dalej w naszym kraju dość powszechnie dyskredytowana. Młodego Goodmana spotkałem w Wiedniu, gdzie uczestniczył wraz z Hunterem i matematykami z kilkunastu krajów w międzynarodowej konferencji matematycznej. Goodman był błądy i bardzo wzburzony i zamierzał wracać do Ameryki następnego dnia, mimo że konferencja jeszcze się nie skończyła. Powierzył te dokumenty mojej opiece i powiedział, żebym je oddał Dawidowi Hunterowi, jeśli go kiedykolwiek spotkam. A następnie, po wielkich perswazjach i naleganiu z mojej strony, powiedział mi, czego był świadkiem trzeciego dnia konferencji. Spotkania zaczynały się codziennie o wpół do dziesiątej wygłoszeniem jakiegoś referatu i dyskusją. O jedenastej wnoszono napoje i wtedy wielu uczestników zebranych wokół stołu politurowanego na wysoki połysk wstawało i przechadzając się po obszernej, eleganckiej sali, ucinało z kolegami pogawędkę. Konferencja mia-

ła trwać dwa tygodnie i zgodnie z dawno ustalonym programem wszyscy najwybitniejsi matematycy mieli przeczytać swoje doniesienie jako pierwsi, po nich nieco mniej wybitni i tak dalej, według hierarchii, co wywoływało, jak to bywa w środowiskach ludzi wysoce inteligentnych, przypadkowe, ale silne zawiści. Hunter, chociaż zdolny matematyk, jako człowiek młody był praktycznie nieznany poza swoim uniwersytetem macierzystym, czyli edynburskim. Zgłosił na konferencję pracę, którą uważał za bardzo ważną w dziedzinie stereometrii, a ponieważ w tym panteonie zajmował miejsce dość poślednie, wyznaczono mu na wystąpienie przedostatni dzień trwania konferencji, kiedy to już wielu luminarzy zdążyłoby wrócić do swoich krajów. Tak więc trzeciego dnia rano, kiedy służba wniosła napoje, Hunter zerwał się nagle z miejsca i zwrócił do kolegów w momencie, kiedy zaczęli wstawać z krzeseł. Był to duży mężczyzna z kudłatą czupryną i mimo młodego wieku odznaczał się autorytetem, który sprawiał, że szmery rozmów ucichły.

– Panowie – rzekł – wybaczone mi, proszę, tę niewłaściwą formę wystąpienia, ale mam do poruszenia sprawę najwyższej wagi. Otóż odkryłem płaszczyznę bez powierzchni. – Pośród ironicznych uśmiezków i rozbawienia zebranych Hunter wziął ze stołu dużą białą kartkę papieru. Scyzorykiem zrobił w niej nacięcie długości jakichś dziesięciu centymetrów nieco w

bok od środka. Potem szybko, w bardzo skomplikowany sposób poskładał kartkę i trzymając ją wysoko, tak żeby wszyscy mogli to zobaczyć, przeciągnął jeden róg przez nacięcie, w wyniku czego kartka zniknęła. – Popatrzcie, panowie – powiedział Hunter, demonstrując zgromadzonym puste ręce – oto płaszczyzna bez powierzchni.

Maisie weszła do pokoju, umyta już i pachnąca mydłem toaletowym. Stała za moim krzesłem i położyła mi ręce na ramionach.

– Co czytasz? – spytała.

– Fragmenty dziennika, których do tej pory nie czytałem. – Zaczęła mi delikatnie masować kark. Podziałyby to na mnie kojąco, gdyby to był pierwszy rok naszego małżeństwa. Ale był to rok szósty, więc jej zabiegi wywołały we mnie rodzaj napięcia, które odczuwałem wzdłuż krzyża. Maisie czegoś chciała. Żeby ją powstrzymać, położyłem prawą dłoń na jej lewej ręce, a ona, biorąc to za pieszczotę, pochyliła się i pocałowała mnie w okolice ucha. Jej oddech pachniał pastą do zębów i grzanką. Pociągnęła mnie za ramię.

– Chodźmy do sypialni – wyszeptała. – Nie kochałiśmy się już ze dwa tygodnie.

– Wiem – powiedziałem. – Wiesz, jak to jest... z tą moją pracą. – Nie pragnąłem ani Maisie, ani żadnej innej kobiety. Chciałem jedynie móc przewrócić na-

stępną kartkę dziennika mojego pradziadka. Maisie zdjęła ręce z moich ramion i stanęła koło mnie. W jej milczeniu nagle pojawiła się taka zaciekłość, że poczułem napięcie jak sprinter na starcie. Sięgnęła ręką po zamknięty szczelnie słoć z kapitanem Nichollsem. Kiedy go podniosła, penis kapitana leniwie podryfował z jednej strony słoja w drugą.

– Jesteś taki cholernie zadowolony z siebie! – wrzasnęła, a zaraz potem cisnęła słojem o ścianę przed moim stołem. Instynktownie zasłoniłem twarz z obawy przed odpryskami szkła. Kiedy otworzyłem oczy, usłyszałem swój głos:

– Dlaczego to zrobiłeś? To należało do mojego pradziadka. – Wśród potłuczonego szkła i coraz intensywniejszego odoru formaliny leżał kapitan Nicholls, wylany na skórzaną oprawę dziennika mojego pradziadka, szary, wiotki, złowrogi, z cennej ciekawostki przemieniony w ohydne świństwo.

– To było podłe. Dlaczego to zrobiłeś? – powtórzyłem.

– Idę się przejść – odpowiedziała Maisie i strzeliła drzwiami, tym razem już wychodząc z pokoju.

Długo nie ruszałem się z miejsca. Maisie zniszczyła coś, co przedstawiało dla mnie wielką wartość. Kapitan Nicholls stał w gabinecie pradziadka za jego życia, a potem stał w moim, łącząc w ten sposób moje życie z jego życiem. Zebrałem z kolan kilka odłamków

szkła, gapiąc się na stusześcdziesięcioletni kawałek innej ludzkiej istoty leżący na moim stole. Patrzyłem na niego i myślałem o tych wszystkich homunkulusach, które się wzdłuż niego roily. Myślałem o tych miejscach, w których był, Kapsztad, Boston, Jerozolima, podróżując w ciemnym, cuchnącym wnętrzu skórzanym spodni kapitana Nichollsa, by od czasu do czasu wychynąć na oślepiające słońce i pozbyć się ładunku moczu w jakimś zatłoczonym miejscu publicznym. Myślałem też o wszystkich rzeczach, których dotykał, o ich cząsteczkach, o badawczych rękach kapitana Nichollsa w samotne, nieodzwajemnione noce na morzu, o zapoconych ściankach piczek młodych dziewcząt i starych prostytutek – ich cząsteczki muszą istnieć do dziś w postaci drobniutkiego pyłu unoszonego wiatrem od Cheapside do Leicestershire. Ciekawe, jak długo istniałyby w tym szklanym słoju. Zacząłem sprzątać bałagan. Przyniosłem z kuchni kubeł na śmieci. Zmiotłem i pozbierałem wszystkie odłamki szkła, które zdołałem znaleźć, i wytarłem formalinę. A następnie, ująwszy kapitana Nichollsa za jeden koniec, usiłowałem przełożyć go na gazetę. Żołądek podjeżdżał mi do gardła, kiedy napletek zaczął mi się usuwać pod palcami. Wreszcie zamknąłem oczy i zawinąwszy go starannie w gazetę, zaniósłem do ogrodu i pochowałem pod geranium. Przez cały czas usiłowałem pohamować wzbierającą we mnie urazę do Maisie. Chciałem wrócić

do przerwanej lektury. Zasiadłem w fotelu, wytarłem kilka kropel formaliny, która rozmazała atrament, i zabrałem się do czytania.

Na minutę sala zamarła i wydawało się, że z każdą sekundą zamiera coraz bardziej. Pierwszy odezwał się dr Stanley Rose z Uniwersytetu w Cambridge, który miał wiele do stracenia z powodu płaszczyzny bez powierzchni Huntera. Swoją pozycję, istotnie bardzo znaczną, opierał na opublikowanych przez siebie *Zasadach stereometrii*.

– Jak pan śmie. Jak pan śmie obrażać to czcigodne zgromadzenie bezwartościową sztuczką kuglarza. – I czując poparcie w podnoszącym się szumie, dodał: – Powinien się pan wstydzić, młody człowieku, naprawdę wstydzić. – Po tych słowach sala wybuchła jak wulkan. Z wyjątkiem młodego Goodmana i służby, która w dalszym ciągu stała z napojami, wszyscy obrócili się przeciwko Hunterowi z bezsensownym oskarżycielskim bełkotem, stekiem inwektyw i gróźb. Niektórzy z wściekłości walili w stół, inni wymachiwali zacisniętymi pięściami. Jeden bardzo wątył dżentelmen z Niemiec padł w ataku apopleksji i trzeba go było sadzać na krześle. A pośród tego wszystkiego stał Hunter, silny i przynajmniej na pozór niewzruszony, z głową nieznacznie przechyloną na bok, palcami lekko oparte o długi politurowany stół. Fakt, że głupia

sztuczka kuglarza mogła wywołać tyle szumu, wyraźnie świadczył o rozmiarach ukrytego niepokoju i Hunter doceniał to z pewnością. Ucisząc raz jeszcze zebranych podniesioną ręką, powiedział:

– Panowie, wasze zainteresowanie jest zrozumiałe, dlatego przedstawię kolejny dowód, tym razem ostateczny. – To powiedziawszy, usiadł i zdjął buty, a następnie wstał i zdjął marynarkę, po czym spytał, czy ktoś mu pomoże na ochotnika, na co wystąpił młody Goodman. Hunter przedostał się przez tłum do sofy, która stała pod jedną ze ścian, i sadowiac się na niej, powiedział otumanionemu Goodmanowi, żeby wracając do Anglii, zabrał jego pracę i zatrzymał, dopóki on się po nią nie zgłosi. Kiedy matematycy zgromadzili się wokół sofy, Hunter przewrócił się na brzuch i wygiął ręce do tyłu, przyjmując dziwną pozę i robiąc coś w rodzaju pętli. Następnie poprosił Goodmana, żeby mu w tej pozycji przytrzymał ręce, i przewrócił się na bok, wykonując całą serię energicznych, szarpawych ruchów, w wyniku których udało mu się przełożyć przez tę pętlę jedną ze stóp. Wtedy poprosił swego pomocnika, żeby go przewrócił na drugi bok, po czym, wykonując podobne ruchy jak poprzednio, przełożył drugą stopę. Jednocześnie w taki sposób wygiął cały tułów, że i głowa przeszła mu przez tę pętlę – tyle że w kierunku przeciwnym. Z pomocą asystenta Hunter zaczął przewlekać nogi i głowę przez pętlę. To wła-

śnie wtedy szacowne zgromadzenie wydało z siebie, jak jeden mąż, skowyt niedowierzania. Hunter zaczął znikać i kiedy jego nogi i głowa przechodziły pomiędzy ramionami z coraz większą łatwością, wydawało się, że go wsysa jakaś niewidzialna siła... już go prawie nie było. Wreszcie... zniknął... zniknął całkowicie, nic z niego nie zostało.

Opowieść M rozpałała wyobraźnię mojego pradziadka do białości. Tego dnia zapisał w dzienniku, jak to usiłował wpłynąć na swego gościa, „żeby natychmiast posłał po tę pracę”, mimo że była druga nad ranem. M jednak zapatrywał się na sprawę znacznie bardziej sceptycznie. „Amerykanie – powiedział – lubują się w takich fantastycznych historiach”. Ale zgodził się przynieść pracę nazajutrz. Jak się okazało, M tego dnia nie był u pradziadka na kolacji, umówił się z kimś innym, ale zjawił się późnym popołudniem z opracowaniem Huntera. Przed wyjściem powiedział pradziadkowi, że czytał je wiele razy i że nie widzi w nim żadnego sensu. Nie zdawał sobie wtedy jeszcze sprawy z tego, jak bardzo nie docenia mojego pradziadka jako matematyka amatora. Siedząc przed kominkiem w salonie, z kieliszkiem sherry, dwaj panowie umówili się na kolację w sobotę. W ciągu najbliższych trzech dni pradziadek przerywał sobie lekturę pracy Huntera jedynie po to, żeby coś zjeść i się przespać. W tym czasie w jego

dzienniku nie ma dosłownie nic innego. Całe strony są pokryte bazgrołami, diagramami i symbolami. Wyglądało na to, że Hunter wynalazł zupełnie nowy system znaków, dosłownie nowy język, na wyrażenie swoich pomysłów. Pod koniec drugiego dnia pradziadek dokonał pierwszego przełomu. U dołu strony, wypełnionej matematycznymi bazgrołami, napisał: *Pojęcie wymiarów to funkcja świadomości*. W zapiskach z następnego dnia przeczytałem: *Zniknęło mi w rękach*. Pradziadek na nowo odkrył płaszczyznę bez powierzchni. Miałem przed sobą jak na dłoni szczegółową instrukcję, krok po kroku, jak poskładać arkusz papieru. Kiedy przewróciłem następną kartkę, nagle zrozumiałem tajemnicę zniknięcia M. Niewątpliwie zachęcony przez mojego pradziadka wziął tamtego wieczoru udział w eksperymencie naukowym, prawdopodobnie z bardzo sceptycznym nastawieniem. W tym miejscu bowiem mój pradziadek wykonał całą serię szkiców przedstawiających coś, co na pierwszy rzut oka robiło wrażenie pozycji jogi. Z pewnością była to odpowiedź na zagadkę tajemniczego zniknięcia M.

Ręce mi drżały, kiedy robiłem miejsce na biurku. Wybrałem czysty arkusz papieru maszynowego i rozłożyłem go przed sobą. Z łazienki przyniosłem brzytwę. Następnie, grzebiąc w szufladzie, znalazłem stary cyrkiel, zaostrzyłem ołówek i osadziłem w nim. Przewróciłem dom do góry nogami w poszukiwaniu

bardzo dokładnej stalowej linijki, która mi kiedyś służyła do dopasowywania ram okiennych, i byłem gotów. Przede wszystkim należało przyciąć papier do odpowiednich wymiarów. Arkusz, który Hunter tak niedbale wziął ze stołu, musiał być staranie przedtem przygotowany. Długości brzegów musiały wyrażać pewien określony stosunek. Z pomocą cyrkla wyznaczyłem środek arkusza i poprowadziłem przez niego linię równoległą do jednego z boków, którą pociągnąłem aż do krawędzi. Potem musiałem zbudować prostokąt o wymiarach odpowiednich do boków arkusza papieru. Środek tego prostokąta wypadł na linii w taki sposób, że ją podzielił według złotego środka. Z wierzchołka prostokąta poprowadziłem krzyżujące się łuki, znów o określonych proporcjonalnych promieniach. To samo powtórzyłem w dolnej części prostokąta i kiedy połączyłem dwa punkty przecięcia, uzyskałem linię, wzdłuż której należało naciąć kartkę. Potem przystąpiłem do wyznaczania linii, wzdłuż których miałem ją poskładać. Każda z nich wyrażała swoją długością, stopniem nachylenia i punktem przecięcia z innymi jakąś tajemniczą wewnętrzną harmonię liczb. Kiedy już podzieliłem łuki, poprowadziłem linie i poskładałem kartkę, poczułem, że na ślepo posługuję się najwyższą, najbardziej przerażającą formą wiedzy, matematyką absolutu. Kartka, kiedy ją złożyłem po raz ostatni, przybrała kształt geometrycznego kwiatu, z trzema

koncentrycznymi pierścieniami wokół nacięcia w środku. Był w tym układzie taki jakiś dziwny spokój i taka doskonałość, coś tak odległego, a zarazem zniewalającego, że w miarę jak na niego patrzyłem, zapadałem w lekki trans, a mój umysł stawał się jasny, bierny. Potrząsnąłem głową i odwróciłem wzrok. Nadszedł czas, żeby wywinąć kwiat i przeciągnąć go przez nacięcie. Była to operacja bardzo delikatna i stwierdziłem, że znów drżą mi ręce. Uspokajałem się jedynie, patrząc w sam środek figury. Zacząłem kciukami zbliżać brzegi papierowego kwiatu do środka i podczas tej czynności czułem dziwne odrętwienie u nasady czaszki. Przygłąłem kwiat jeszcze trochę, papier na moment błysnął jaśniejszą bielą i wtedy wydało mi się, że znika. Mówię „wydało mi się”, ponieważ w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy czuję go jeszcze w rękach, a nie widzę, czy widzę, a nie czuję, czy też może wyczuwam, że znika, podczas kiedy jego zewnętrzne właściwości pozostają. Odrętwienie rozeszło mi się po całej głowie i ramionach. Moje zmysły były zbyt niedoskonałe, żeby ogarnąć to, co się działo. Pojęcie wymiarów to funkcja świadomości, pomyślałem. Złożyłem ręce i stwierdziłem, że nic w nich nie mam, ale nawet kiedy je znów otworzyłem i stwierdziłem, że są puste, to i tak nie byłem pewien, że kwiat zniknął całkowicie. Zostało wrażenie, powidok – nie na siatkówce jednak, ale w samej świadomości. Dokładnie w tej chwili otworzyły się za

mną drzwi i Maisie powiedziała:

– Co ty robisz?

Powróciłem, jak gdyby ze snu, do pokoju i do lekkiego zapachu formaliny. Akt zniszczenia kapitana Nichollsa miał miejsce dawno, dawno temu, ale zapach ożywił moje rozżalenie, które ogarnęło mnie jak drętwa. Maisie stała oparta w drzwiach, opatulona w gruby płaszcz i wełniany szal. Wydawała się bardzo odległa i kiedy na nią patrzyłem, mój żal przeszedł w zwykłe małżeńskie znudzenie. Pomyślałem: Dlaczego ona rozbiła ten ślój? Bo chciała się ze mną kochać? Bo chciała tego penisa? Bo była zazdrosna o moją pracę i próbowała zniszczyć związek, jaki miała ona z życiem mojego pradziadka?

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem głośno, mimo woli. Maisie parsknęła. Otworzyła szerzej drzwi i zobaczyła mnie pochylonego i wpatzonego we własne ręce.

– Przesiedziałeś tu całe popołudnie, myśląc o tym? – Zachichotała. – A co się z nim stało? Wyssałeś go może?

– Pochowałem go – odparłem. – Pod geranium.

Weszła nieco głębiej do pokoju i powiedziała poważnie:

– Przepraszam cię za to. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Zrobiłam to, zanim zdążyłam pomyśleć. Przebaczysz mi?

Wahałem się przez chwilę, a następnie, ponieważ

moje znużenie zaowocowało nagłą decyzją, powiedziałem:

– Tak, naturalnie, że ci przebaczam. To był ostatecznie tylko marynowany kutas. – I oboje roześmialiśmy się. Maisie podeszła i pocałowała mnie, a ja odwzajemniłem ten pocałunek, rozchylając jej usta językiem.

– Nie jesteś głodny? – spytała, kiedy skończyliśmy już z całowaniem. – Może bym zrobiła jakąś kolację?

– Aha – powiedziałem. – Byłoby cudownie. – Maisie pocałowała mnie w czubek głowy i wyszła z pokoju, a ja wróciłem do swoich studiów, obiecując sobie, że dziś wieczór będę się starał być dla niej jak najmiłszy.

Później siedzieliśmy w kuchni, jedząc posiłek, który ugotowała, i upijając się powoli butelką wina. Wypaliliśmy też skręta, pierwszego razem od dłuższego czasu. Maisie mówiła, jak to zamierza w lecie przyszłego roku podjąć pracę w komisji zalesiania przy sadzeniu drzew w Szkocji. Ja z kolei opowiedziałem jej o rozmowie pradziadka z M na temat stosunku od tyłu i że według teorii pradziadka podstawowa liczba pozycji nie przekracza siedemnastu. Śmialiśmy się oboje i Maisie ścisnęła mnie za rękę, i w ciepłym zaduchu kuchennym kochanie dosłownie wisiało między nami w powietrzu. A potem włożyliśmy płaszcze i poszliśmy na spacer. Była prawie pełnia. Szliśmy główną ulicą, która biegnie koło naszego domu, a następnie skręciliśmy w wąską uliczkę, gdzie stał dosłownie dom przy domu

z maleńkimi wypieszczonymi ogródkami. Nie rozmawialiśmy wiele, ale nasze ręce były złączone i Maisie mówiła mi, jak bardzo jest zapruta i szczęśliwa. Doszliśmy do niewielkiego parku, który był zamknięty, więc staliśmy przed bramą, patrząc na księżyc przez prawie bezlistne gałęzie. Po powrocie do domu Maisie wzięła rozkosznie ciepłą kąpiel, a ja poszedłem do gabinetu, żeby posprawdzać jakieś szczegóły. Nasza sypialnia jest ciepłym, wygodnym pokojem, na swój sposób luksusowym. Łóżko ma wymiary dwieście dziesięć na dwieście czterdzieści centymetrów i zrobiłem je sam w pierwszym roku naszego małżeństwa. Maisie uszyła bieliznę pościelową, ufarbowała ją na głęboki, intensywny błękit, a poszewki na poduszki wyhaftowała. Jedyne oświetlenie pokoju stanowiła lampa ze starym abażurem z prymitywnie wyprawionej koziej skóry. Maisie kupiła go od jakiegoś domokrażcy. Od dość dawna nie interesowałem się sypialnią. Leżeliśmy obok siebie w plataninie prześcieradeł i koców – Maisie zmysłowa i rozmarzona po kąpieli, ja wsparty na łokciu.

– Po południu szłam nad rzeką – odezwała się sennie Maisie. – Drzewa są teraz piękne, dęby, wiązy... jakieś trzy kilometry za mostem rosną dwa buki czerwone, powinieneś je teraz obejrzeć... Aaach, jak dobrze. – Przewróciłem ją na brzuch i głaskałem po plecach. – Są jeżyny – mówiła – największe, jakie w życiu

widziałam, rosną wzdłuż ścieżki, i dziki bez. Zrobię jesienią trochę wina... – Pochyliłem się nad nią, pocałowałem w kark i wykręciłem jej rękę do tyłu. Lubiła, żeby się nią tak bawić, i poddała się temu z rozkoszą. – A rzeka jest naprawdę spokojna – ciągnęła. – Wiesz, drzewa się w niej odbijają i liście spadają do wody. Przed zimą musimy się razem wybrać nad rzekę i iść tak w liściach. Znalazłam takie fajne miejsce. Nikt tam nie chodzi... – Trzymając jedną ręką ramiona Maisie złączone, drugą przybliżałem jej nogi ku tej pętli... – siedziałam tam z pół godziny bez ruchu, jak drzewo. Widziałam szczura wodnego, jak biegł na przeciwległym brzegu, i różne rodzaje kaczek, które lądowały i zrywały się do lotu na rzece. Słyszałam pluski, ale nie wiedziałam, skąd pochodzą, a potem zobaczyłam dwa pomarańczowe motyle, prawie mi usiadły na ręce. – Kiedy już przełożyłem jej nogi, Maisie powiedziała: – Pozycja numer osiemnaście. – Roześmialiśmy się cicho oboje. – Chodź, pójdziemy tam jutro, nad rzekę – mówiła dalej, a ja delikatnie zbliżałem jej głowę do pętli z ramion. – No, ostrożnie, to boli! – krzyknęła nagle, próbując mi się wyrwać. Ale było za późno. Głowę i nogi miała już w pętli z ramion i już je zacząłem przepychać. – Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła. Teraz jej pozycja wyrażała niewiarygodne piękno, szlachetność ludzkiej formy i – tak jak w papierowym kwiecie – fascynującą siłę symetrii. Znów wpadłem w trans,

czując narastającą drętwotę z tyłu głowy. Kiedy już jej przyciągnąłem ręce i nogi, Maisie przypominała wywróconą skarpetkę. – O Boże – westchnęła. – Co ty wyprawiasz? – Jej głos doszedł mnie jakby z daleka. A potem zniknęła... nie, nie zniknęła. Mówiła teraz bardzo cichutko. – Co ty wyprawiasz? – Było to już tylko echo jej pytania nad ciemnoniebieską pościelą.